

STER

TYGODNIK, POŚWIĘCONY SPRAWOM PAŃSTWA I NARODU

436649

* * *

PRZEŻYWAMY OBECNIE jeden z najcięższych momentów od powstania Państwa Polskiego, cięższy bodaj od owego, gdy bolszewickie kule były w bramy stolicy. Wtedy przeciw grozie, zawisłej nad Państwem, powstał zespolony nagle naród z energią i wolą jej zwycięskiego odparcia.

Chwila dzisiejsza jest groźniejsza, bo niebezpieczeństwo czai się za każdym węglem, leży u każdego proga, ba! jest już w naszym domu: skarb pusty, ciężkie przesilenie gospodarcze, bezrobocie, zubożenie powszechne i dziwny niepokój wśród najszerzych mas społecznych. A przeciwstawia się temu zamiast woli i czynu bierność i miękkość czynników odpowiedzialnych, apatię polityczną, korupcję życia publicznego, upadek moralności w najszerzych kołach, targowisko grup sejmowych, rozbicie opinii publicznej i upadek wszelkich autorytetów. W takiej atmosferze hula demagogja i żerują najnędniesze instynkty. Zaprawdę, drzeć trzeba, aby nie ujrzeć na polskim niebie krwawych znaków: mane-tek-el-fares.

Gdzie są warstwy społeczne, świadome obowiązku obywatelskiego? Czy nie czują one, że na ich to barki wkłada chwila historyczna ciężar—ale i zaszczyt—inicjatywy i odpowiedzialności za to, co stanie się z jutrem Polski? Czyż to wszystko, co się dzieje obecnie w naszym życiu narodowym, jest wyrazem jego istoty i przeznaczenia dziejowego?

Musimy się zdobyć na wolę żelazną i czyn, aby pchnąć Państwo na tory świetnych naszych tradycji państwowych. Bierność nie może być hasłem poczynania politycznych, bowiem biada tym, których stać tylko na bierność.

W takiej to chwili dajemy do rąk myślącego ogółu polskiego nasze pismo.

Wierzimy, że są siły i indywidualności w Polsce, których działanie może okazać się zbawczem dla odrodzenia społecznego. Wierzimy, że znajdą się jednostki setki i tysiące, które nie będą szczędziły ni trudu, ni ofiar dla pomyślności Narodu i Państwa.

Te elementy chcemy budzić i do twórczej pracy zagrzewać.

Nie będziemy narzędziem demagogji politycznej, ani wyrazem interesów ciasnego egoizmu,—pragniemy być jednym z ośrodków i znaków rodzącej się siły twórczej państwowo-narodowej.

Nie będziemy szukali ludzi partji i koterji,—wyciągniemy przyjazną dłoń do każdego, kto zechce oddać swą pracę i umiłowennie idei uzdrowienia naszego życia publicznego.

Nie chcemy służyć ambicjom jednostek. Dobro ogólne i cnota obywatelska, a wraz z tem wzmocnienie bytu Państwa i Narodu będzie celem naszym.

Świadomi tych zadań i odpowiedzialności, będziemy szczęśliwi, jeśli przyczynimy się do odrodzenia zbiorowej duszy polskiej, aby stała się ona podwaliną tężyzny narodowej i wielkości Państwa Polskiego.

STER

CZY POLSCE BRAKUJE LUDZI?

UTARŁ SIĘ FRAZES o braku u nas ludzi i frazes ten podaje się często jako tłumaczenie, że na to, czy inne odpowiedzialne stanowisko w Państwie nie można postawić właściwego człowieka. Odnosi się to także w pierwszym rzędzie do ludzi, powoływanych do rządzenia Państwem. Nie mówi się tego tylko o posłach sejmowych. Wyglądałoby to już zanadto na ironję. Wszakże szerokie rzesze wyborców doskonale pamiętają, że przy naszych wyborach ciężar gatunkowy kandydata przeważnie nie odgrywał żadnej roli. Na listach partyjnych nie było miejsca dla wybitniejszych jednostek poza niewielką liczbą przywódców stronnictw i poza paru nazwiskami na liście państwowej na przynętę.

Tak więc poddaliśmy się sugestji, że brak nam ludzi.

Niema chyba słów dość mocnych, aby krzyknąć wielkim głosem: nieprawda! Bo krzywda, jaka się stanie Państwu, kiedy ogół uwierzy w tak niebezpieczną teorię, jest niezmierzona. Doprowadziłoby to w konsekwencji do upadku wiary we wszystko i we wszystkich.

Coprawda okres zwątpienia jest w pewnym stopniu zrozumiałą reakcją po egzaltacji pierwszych lat niepodległości i wynikającej stąd przesadnej, często naiwnej wiary w nasze nadzwyczajne zdolności twórczo państwowe i w doskonałe stosunki gospodarcze zjednoczonej Polski. Wtedy odpychaliśmy czasem lekkomyślnie współpracę obcych, w szczególności obcego kapitału, jako niepotrzebną, bo „my sami sobie damy radę“.

Zimna rzeczywistość wykazała, że na tle ogólnych trudności gospodarczych, przeżywanych przez całą Europę, nasze należą do największych. Z drugiej strony przekonaliśmy się, że wogóle nie jest rzeczą łatwą dobrze zorganizować państwo. Stąd staliśmy się skłonni do przerwania się w drugą ostateczność: w zwątpienie powszechne.

Nie można jednak tłumaczyć tego zjawiska wyłącznie reakcją po okresie nadmiernego optymizmu. Są i inne przyczyny zupełnie konkretne, które musiały doprowadzić do depresji społeczeństwa w jego wierze w ludzi.

Jedną z nich jest faktyczny stan naszej administracji państwowej, która wykazuje wielkie braki i w samej organizacji i w doborze ludzi.

Ogromna większość naszych urzędów, w szczególności centralnych, organizowana była doraźnie z dnia na dzień. Jedynie podwaliny Ministerstwa Sprawiedliwości i Ministerstwa Oświecenia były kładzione w jaki taki normalny sposób, spokojnie i planowo. Dlatego mógł być tam robiony wybór ludzi. Nadto stosunek społeczeństwa do tej sprawy w zaraniu państwowości był zupełnie inny, jak później.

Propozycja objęcia stanowiska referenta ministerstwa była przyjmowana ze łzami wzruszenia przez wybitnych ludzi, że daje się im możliwość pracy dla powstającego Państwa. Jakże inaczej wyglądało to później. Wysokie urzędy przez jednego bywały przyjmowane z uśmiechem po-

blążliwym, a nawet z lekką ironją, bo to tak mała płaca i tak problematyczny zaszczyt.

Śmiało można powiedzieć, że większość stanowisk odpowiedzialnych w Państwie jest obsadzona przez wypadek. Brano tego, kto był bliżej, i tego, kto się śmieiej wysuwał naprzód. Niestety, jak zwykle, rzadko najlepsi wysuwają się naprzód sami. Reklamowali się przedewszystkiem dawni urzędnicy państw zaborczych, powołując się na swoją fachowość i rutynę. A ta rutyna stała się często nieszczęściem naszej administracji. „Pereat mundus“, aby tylko papier regulaminowo mógł przejść we właściwej koszulce przez trzydzieści rąk.

Jeżeli na początku organizowania naszych władz państwowych decydował często przy powierzeniu odpowiednich stanowisk ślepy przypadek, to kto wie, czy nie gorsza jeszcze zasada zatryumfowała w następstwie.

Interes partji, to straszne słowo, często wszechmocne, a nieraz nie tylko nieidentyczne z interesem publicznym, ale nawet z nim sprzeczne. Bądźmy szczerzy. To straszne słowo „interes partji“ odgrywa wogóle rolę pierwszorzędną w naszym życiu publicznym. Czasem poto tylko wysuwa się danego człowieka na ministra, aby obsadzić jak najwięcej stanowisk swemi ludźmi.

Kto nie zajmował jednego z naczelných stanowisk w Polsce, ten nawet nie przypuszcza, ile hartu i siły musi wykazać minister, chcący się kierować tylko interesem publicznym. A chodzi często nie tylko o to, aby obsadzić stanowisko wakujące przez człowieka miłego partji. Poluje się także na stanowiska zajęte. Ileż przykładów możnaby przytoczyć naganki na człowieka, który tem tylko zawinił, że zajmuje miejsce, któreby się przydało dla sfery wpływów danej partji.

Im zaś gorszy jest skład Sejmu i im niższy przeciętny poziom umysłowy posłów, tem gorzej, bo tem cyniczniejsze są żądania przeznaczania pewnych dygnitarstw ad usum partji.

W konsekwencji tego wszystkiego trzeba stwierdzić, że choć posiadamy w administracji państwowej pewną liczbę pierwszorzędných obywateli i pierwszorzędných urzędników, to jednak na bardzo wielu stanowiskach tkwią miernoty, a czasem gorzej, bo ludzie, stojący znacznie poniżej kwalifikacyj fachowych i moralnych, jakich się musi wymagać od urzędnika polskiego.

Naturalnie, winni są i ludzie, którzy, czując w sobie siły do odegrania większej roli, poddają się jednak panującym stosunkom i ze zbyteczną pokorą usuwają się w cień, w ten sposób bowiem uprawniają miernoty i marnoty do utrwalenia się na niewłaściwie zajmowanych stanowiskach i zachęcają drewniane kołki do odgrywania roli granitowych filarów, na których wspierać się ma Państwo nasze.

Ludzi mamy w Polsce i mamy ich tylu, że wystarczyłoby i do objęcia wszystkich kierowniczych stanowisk i do zapełnienia sal Sejmu i Senatu i do Rządu. Potrzeba tylko, aby w całym społeczeństwie wytworzył się pogląd jasny i sta-

nowczy, że nie wolno nikomu, sprawującemu władzę, kierować się żadnym innym kryterjum przy wyborze ludzi, jak tylko wartością moralną człowieka i kwalifikacjami rzeczowymi, koniecznymi dla dobrego spełnienia danych funkcji.

Trzeba także pomyśleć i o tem, że na stanowiskach, gdzie są wymagane zdolności twórcze i organizacyjne, opłacać trzeba ludzi tak, aby przynajmniej mogli wyżywić siebie i rodzinę i mieli dach nad głową. U nas o tem się nie pamięta i to jest także jedna z przyczyn, że niejeden człowiek zdolny, dzielny i uczciwy opuścił wybitniejszy posterunek państwowy, aby znaleźć możliwe warunki egzystencji.

Kiedy wyliczamy przyczyny, dlaczego tak mało widać na scenie naszego życia publicznego wybitniejszych ludzi, nie można nie dotknąć jeszcze jednego zjawiska, które mi się wydaje specjalnie swojskiem. Na całym świecie we wszystkich dziedzinach życia człowiek wybitny stara się zgrupować obok siebie otoczenie z ludzi zdolnych i wartościowych. Posiłkuje się nimi, ale wyrabia ich i przygotowuje swoich następców, jednym słowem, stwarza szkołę. U nas niema mowy o tem. Przytoczyłby tu można szereg naszych czołowych wodzów i mężów stanu, którzy postępują wręcz przeciwną metodą. Z dziwną konsekwencją ota-

czają się miernotami, które często sprawie publicznej i im samym więcej przynoszą szkody, niż pożytku. Czyżby tu grała rolę zazdrość? Bo i to przychodzi na myśl.

Nawet przy tworzeniu gabinetów, w wielu z nich można dojrzeć tę samą tendencję.

Albo premier chce lepiej się wydać w słabym otoczeniu i łatwiej sprawować rządy w gabinecie między małemi indywidualnościami, albo partje nie dają czołowych swoich ludzi, aby ich na wszelki wypadek nie skompromitować. I dlatego w długim szeregu naszych ministrów mamy tak dużo statystów i tylu ludzi pocziwych, ale nie ponadto.

Czas zerwać z tą metodą. Ludzi mamy pod dostatkiem, tylko trzeba chcieć ich znaleźć. Iluż bohaterów i dobrych wodzów odkryliśmy podczas wojny w naszej armji!

Mamy talenty, mamy charaktery i mamy ludzi ofiarnych. Trzeba tylko, aby i oni sami nie usuwali się w cień i ich nie spychano w szary tłum. Polska ludzi potrzebuje, aby ją ratowali. Opinia musi się obudzić i twardo zażądać: dosyć miernot. Miejsca dla talentu, wiedzy, dzielności i enoty obywatelskiej.

ANTONI PONIKOWSKI

POLSKA WOBEC EWOLUCJI LIGI NARODOW

PRZESILENIE, jakie przechodzi obecnie Liga Narodów, stwarza dla Polski obowiązek dokonania obrachunku sumienia politycznego. Zbyt silnie wiązała się dotąd nasza polityka zagraniczna z faktem istnienia Ligi, zbyt wiele spraw tej polityki miało swój środek ciężkości w Genewie, byśmy mogli tamtejszych przemian nie odczuwać żywo i byśmy nie musieli dostosowywać do nich swych pociągnięć politycznych.

Liga nie była, z pewnością, instytucją doskonałą. Zwłaszcza my tu, w Polsce niejednokrotnie odczuwaliśmy dotkliwie na własnej skórze rozdźwięk pomiędzy ewangelicznymi hasłami, w imię których ją stworzono, a skromną, niedoskonałości pełną rzeczywistością, wśród której obracały się poczynania Ligi. Ale jakakolwiek była — była przecież czynnikiem pierwszorzędnej wagi w polityce międzynarodowej, choćby przez to, że oplotła się dokoła niej legenda, która działała sugestynie. Legenda ta składała się z różnych czynników: obejmowała wiarę w zmianę nastrojów międzynarodowych po wojnie, która wykazała że wilece apetyty prowadzą państwa do ruiny; obejmowała następnie wiarę w zmianę metod dyplomatycznych, które z tajnych i egoistycznie intryganckich miały przeistoczyć się w jawne i przejęte duchem poszanowania cudzych praw; obejmowała przekonanie, że konkurencja między państwami będzie ujęta w szranki, jakie zakreślają potrzeby postępu, poza któremi zaś rozwijać się będzie pokojowa współpraca kulturalnych narodów; świeciła wreszcie promieniami marzeń o królestwie sprawiedliwości wśród ludów — marzeń, których ludzkość, mimo wszystko głodna ideałów, nie

przestaje snuć i dla których wciąż szuka punktów zaczepienia.

Legenda ta była dla Polski, oczywiście, korzystna. Wszystko, co stwarzało atmosferę międzynarodowej pokojowości, było pomyślnie dla młodego państwa, które krzepnąć mogło tylko wśród pokoju.

Korzystna była dalej dla Polski okoliczność, że w Lidze górowały wpływy wielkich mocarstw, Anglii, Francji i Włoch, i że poparcia jednego z pośród nich zawsze mogliśmy być pewni. Wielka waga głosu Francji zabezpieczała w zasadniczych sprawach nasze interesy przed przyduszeniem.

W tem wszystkim zaczynają zachodzić poważne zmiany.

Zamiast legendy mamy obecnie pełne zniechęcenia głosy o bankructwie Ligi, o okazaniu się jej całkowitej bezsilności i kruchości jej budowy i t. p. Jest w tem z pewnością wielka przesada: konstrukcja Ligi, choć jeszcze nie żelazno betonowa, nie jest jednak domkiem z kart, któryby miał zapaść się za pierwszym podmuchem niepowodzenia. Tyle jednak pewne, że Liga przy pierwszej poważnej próbie siły okazała tak wielką mdłość, iż autorytet jej utracił dawną moc sugestyną i chwilowo nie można uważać go za czynnik, któryby wpływał silnie na politykę państw. Sprawia to, że Polska staje w polityce międzynarodowej odsłonięta, pozbawiona tej atmosfery cieplarnianej, jaką stwarzała legenda Ligi. Miejmy nadzieję, że jest to położenie przejściowe, że po chwilowym omdleniu Liga powróci do działania, bodaj nawet wzmocniona. Tymcza-

sem jednak faktem jest, że wskutek jawnego okazywania się całkowitej luzności węzła, symbolizowanego przez Genewę, państwa muszą po dawnemu liczyć w walce o byt na własne zasoby i własną zdolność wytrzymywania naporu przeciwników. Czy w zestawieniu z obecną naszą siłą wewnętrzną budzi to bardzo uspokajające refleksje?

A podobnie jest, gdy zważymy zmiany, zachodzące w stanowisku wielkich mocarstw w obrębie Ligi. Przebieg ostatniej sesji Ligi przedstawiono jako bunt mniejszych państw przeciw załatwianiu najpoważniejszych spraw poza ich plecami przez dawnych aliantów. Zaprotestowano przeciw zasadniczemu przesądzaniu postanowień rady i zgromadzenia Ligi na zjazdach dwóch lub trzech ministrów wielkich mocarstw. Mniejsze państwa zażądały, by w myśl zasady równości głos ich padał ważko na szalę postanowień i by ustała dotychczasowa praktyka, wedle której wzywano ich przedstawicieli właściwie tylko do kiwania głowami na to, co wielkie mocarstwa ułożyły już między sobą.

Zaledwie przebrzmiał niezbyt harmonijny finał ostatnich obrad genewskich, jeden z lewicowych dzienników francuskich oświadczył, że Liga stoi przed koniecznością zdemokratyzowania się, usunięcia dotychczasowej oligarchii mocarstw. W połowie kwietnia zaś, na zjeździe w Zurychu komitetu wykonawczego Międzynarodówki socjalistycznej (anty bolszewickiej!) uchwalono dążyć do usunięcia miejsc stałych w radzie Ligi, a wprowadzenia natomiast zasady wybieralności na wszystkie miejsca oraz wyrażono życzenie, by „zgromadzenie przestało być faktycznie podporządkowane radzie, by, przeciwnie, podejmowało inicjatywę wśród ważnych okoliczności; do niego to należy, w pierwszym rzędzie, rozwiązanie we wrześniu obecnych trudności“.

Owóż demokratyzacja jest pięknym medalem, na którego odwrotną stronę należy jednak zwrócić baczną uwagę. W obrębie oddzielnych społeczeństw demokratyzacja jest powiększaniem praw jednostek, jest wzmocnianiem ich głosu w sprawach, obchodzących ogół, jest wreszcie otwieraniem przed nimi szerokiej drogi do kariery. Zarazem jednak demokratyzacja, powiększając swobodną konkurencję zdolności i znosząc protekcję przywilejów, zmusza jednostki, które pragną utrzymać się na powierzchni do wielkiego wyścigu sił indywidualnych, by nie pozwolić zepchnąć się innym, bardziej utalentowanym, bardziej pracowitym, czy choćby tylko bardziej zabiegliwym. To samo odnosi się do społeczeństwa społeczeństw, jakim ma być Liga. Tu również demokratyzacja nada poszczególnym państwom większy wpływ na zarząd wspólnych spraw, ale równocześnie sprawi, że o znaczeniu każdego z nich rozstrzygać będą przede wszystkim własne jego walory, a nie protekcja możnego alianta.

Przetłomaczona na język polityki polskiej, demokratyzacja Ligi oznacza zatem dla Polski konieczność podnoszenia własnej powagi. Musi w Genewie zaznaczać się jej wartość międzynarodowa, jeśli Polska nie ma być zasunięta w kąt przez inne zbiorowości o silniejszej energii życiowej i większej sile konkurencyjnej.

Tak więc i ze stanowiska chwilowego osłabienia znaczenia Ligi i ze stanowiska prawdopodobnej jej demokratyzacji widzi się wypisane Polsce, wypisane Polakom kategoryczne wskazanie podnoszenia sprawności państwowej, gromadzenia w sobie wiosennie prężnych sił. Jakże upokarzające jest, że trudno o zjadliwszą satyrę nad oglądanie dzisiejszej naszej rzeczywistości pod kątem tego właśnie wskazania.

MIECZ. SZERER

PRIMUM VIVERE...

ROZPOCZYNAM współpracę w tygodniku w okresie, w którym zasadnicze przeciwieństwa pomiędzy polskimi ugrupowaniami partyjnymi zarysowały się na tle problemów gospodarczych po raz pierwszy tak wyraźnie, że stały się aż przyczyną rozpadnięcia się koalicji parlamentarnej i przesilenia gabinetowego.

Rzecz wysoce znamienna, a w Polsce dotąd niebywała. Do tej pory bowiem nie zaprzatano sobie zbyt wiele mózgow w naszym młodym parlamencie rozwiązywaniem zagadek, przed którymi nieustannie, od czasu odzyskania niepodległości stawało gospodarstwo polskie. Pracę tę powierzano nibyto z całym zaufaniem rozmaitym ad hoc powołanym lekarzom specjalistom, którzy, kładąc sobie, jako pierwsze pensum, sanację skarbu, dokonywali przy okazji tego głównego zabiegu innych ubocznych operacji, ze skutkiem nie zawsze dla naszego organizmu gospodarczego błogosławionym.

Sejm, rząd, społeczeństwo, wreszcie same, najbliższe zainteresowane, sfery gospodarcze, przyjmowały nowe plany i zamiary, zwane przy tej okazji programem sanacyjnym, ze ślełą wiarą w ich powodzenie i skutki, chętnie składając co-

raz to nowe ofiary. Jak daleko okiem wstecz sięgniemy, ciągle ktoś nas „sanował“, stosując bezapelacyjnie środki radykalne, co do których były wprawdzie poważne zastrzeżenia, tak co do ich skuteczności, jak i dalszego na organizm działania, wątpliwości te jednak nigdy nie objawiały się głośnie. Na rzeczową bawiem krytykę zdobywały się jedynie jednostki, które nie miały możliwości lub odwagi do energiczniejszych na forum publicznym wystąpień, jako że wokół tych coraz to nowych programów tworzyła się obronna ława opinii, najczęściej sztucznie rozdmuchanej, która każdego sceptyka posądzała o brak poczucia i ofiarności patriotycznej, o defetyzm gospodarczy, lub zgoła nieuctwo.

Sfer gospodarczych nie pytano się wogóle o zdanie. Stanowiły one bowiem i stanowią bez wątpienia jeszcze skutkiem specyficznej konstrukcji naszych konstytucyjnych „zdobyczy“, polityczną *quantité négligeable*, z którą się liczyć nie potrzeba, nawet w momencie, kiedy się czyni posunięcia lub uchwała publiczno-prawne reglamentacje, sięgające w żywe ciało ich interesów.

W swobodzie, z jaką dysponowano podstawami majątku narodowego, tworząc nierzadko sytuacje, w których drgały niebezpiecznie jego fundamenty, w cichym bezkrytycyzmie, z którym przyjmowano tak zwane unowocześnianie się naszego życia gospodarczo - społecznego, w odwadze, z jaką niejednokrotnie przy tej sposobności nadwyrażano pierwiastki naszego ustroju społecznego i wreszcie w owej bierności, z jaką sfery zainteresowane znosiły dokonywane na nich eksperymenty — jest chyba jakieś wielkie nieporozumienie, zadziwiające tymbardziej, że wszystkie te bądź co bądź karkołomne ewolucje odbywały się u nas zupełnie beznamietnie. Nie było furji ataku po stronie nacierających i nie było żywszej reakcji po stronie atakowanych. Wydawaćby się mogło, żeśmy się tylko bawili i że zabawa w prawodawców i w reformatorów tak lekko nam przychodziła i miała stosunkowo tak duże powodzenie tylko dlatego, żeśmy, jak dzieci, nie widzieli, jak bardzo jest niebezpieczna i czym grozi. Zarówno bowiem reformatorom, jak i reformowanym brakowało elementu, stanowiącego podwalinę rozumowi twórczego — brakowało im doświadczenia. Improvizowaliśmy tedy, jak poeci, i co gorzej — bez treści. Nie myślano o tem, aby tworzyć jakąś platformę dla programu, coby prowadził naprzód i zużytkował potencjalną energię społeczeństwa, choćby już w tym kierunku, który nadawały mu reformy i prawa, za obszerne dlań jeszcze i przedwcześnie mu ofiarowywane.

Skutek tych poczyniń, skutek logiczny i nieuchronny nie dał na siebie długo czekać i nastąpił nawet rychlej, aniżeli się tego można było spodziewać. Przyniósł objawy paradoksalne i to tak bardzo, że — jeśli wrócimy do początku tego artykułu — do przesilenia gabinetowego — i przyjrzemy się jego przyczynie, tj. różnicy programowej pomiędzy prawem i lewem skrzydłem rządu koalicyjnego, to zauważymy rychło, że nastąpiło tu dziwne odwrócenie ról.

Nie jest moim zamiarem krytykowanie tego lub tamtego projektu wyjścia z dzisiejszego gospodarczego impasu, nie podobna jednak nie spostrzedz, że lewica Sejmu widzi go w poczynaniach, które za czasów marki polskiej były przez nią nie bez wielkiej, ze stanowiska obrony interesów klasy pracującej, słuszności niesłuchanie energicznie zwalczane, prawica zaś broni znów dzisiaj placówki, której popularność w szerokich sferach gospodarczych niezupełnie jest pewna, jakkolwiek ze stanowiska konsekwencji i z punktu widzenia na bezpośredni interes skarbu jest ona niezawodnie potrzebna.

Nie wspominamy tu o drugorzędnych, naszym zdaniem, o ile idzie o linię całości programowej, kwestjach, o które rozbiła się nawa koalicji. Nie można bowiem uwierzyć, aby były one tak zasadnicze, że uzgodnienie ich przy dobrej woli byłoby rzeczą niemożliwą. Czyż można bowiem przypuszczać, aby tak wybitny poseł, jak dr. Marek, mówił szczerze, kiedy krytykując budżet p. Zdziechowskiego, nazwał go budżetem ludzi bogatych. Gdzie oni są, ci bogaci ludzie w Polsce? Pojęcie względności bogactwa nigdy wyraźniej, niż teraz, nie zaznaczyło się u nas.

Pewnie, że projekty ministra skarbu, zdąża-

jące do odebrania rzeszom niewątpliwych biedaków nabytych praw, jakie posiadły w formie rent inwalidzkich, uposażeń emerytalnych itd. i wydalenia 18,000 kolejarzy nie mogły znaleźć punktów styecznych z ideologią polityczną i pogodzić się z taktyką partyjną posłów z P. P. S., nie wynika atoli z tego, aby coś na tem wszystkim zyskiwali t. zw. bogaci, którychby u nas, jak rzekliśmy, szukać trzeba djogenesową metodą.

Stworzenie w dzisiejszej sytuacji gospodarczej i społecznej nowej ośmnastotysięcznej armii bezrobotnych wydaje się nam zamierzeniem zbyt ryzykownym, nawet gdyby argumenty, za tem przemawiające, były tak bardzo przekonujące jak te, jakie wysunęła podobno zgodna opinia dyrektorów departamentów Ministerstwa Kolei. Dziwić się tylko wypada, że projekt ten powstał tak późno, mimo, że o zbyt szerokiej gospodarce personalnej naszych kolei mówiono i pisano już bardzo dawno. Redukcje, przeprowadzane w sposób ewolucyjny i programowy dawniej, byłyby uczyniły koleje dzisiaj przedmiotem poważnych dochodów skarbowych i oszczędziły politykom i mężom stanu, zawiadującym skarbem Państwa, lub biorącym za to zawiadownictwo moralne del credere niepopularnych posunięć, grożących ponadto perturbacjami społecznymi, którychby dziś raczej unikać należało.

Inne przeto i głębsze były przyczyny discordii w łonie koalicji rządowej, aniżeli te, które się objawiły publicznie do użytku opinii. Główną z nich i zasadniczą, działającą może nawet podświadomie na kalkulacje naszych polityków, partji i Sejmu całego, jest spontaniczne dziś wysunięcie się spraw gospodarczych na czoło zagadnień państwowych i niemożność ustosunkowania się do nich Sejmu, skutkiem braku orientacji gospodarczej i jakiegoś choćby zarysu programu gospodarczego po którejkolwiek stronie Izby.

Sejm dotąd lekceważył problematy, na których opiera się cała struktura społeczna Państwa, wybudowana, teoretycznie przynajmniej, na podstawie kapitalistycznej formuły, nie może się zdobyć obecnie, kiedy pojedyncze jej elementy tracą potrzebną do równowagi spójność, na czyn ratowniczy i śmiały, lecz przez mózgi swych wodzów szuka tylko paljatywów i programów na krótką całkiem metę, wynajdując w ten sposób tezy, nie zawsze możliwe do zrealizowania, lub wręcz nielogiczne i niekonsekwentne. Stąd też pomieszanie pojęć i niepokój społeczeństwa, który pomimo wszelkich środków — miast uspokajać się — rośnie.

Wzmaga się tem więcej, że w równej ogarnia mierze warstwy posiadające, które w tych wszystkich zamierzonych lub projektowanych posunięciach nie widzą programu, lecz dalsze niebezpieczeństwo dla resztek pracujących warsztatów — i opanowuje warsztaty pracujące, które ponad głowami polityków dostrzegają intuicyjnie ruinę życia gospodarczego i groźne memento, jakie tkwi w tem zjawisku dla rynku pracy, a co za tem idzie dla codziennego bytu robotnika.

Obserwacja codziennego życia i wczuwanie się w nastroje społeczeństwa dowodzi, że wszystkie niemal jego warstwy poczynają pojmować

powagę sytuacji i szukają jej przyczyn we właściwych punktach. Reakcja przeciw podporządkowywaniu jasnych i bezspornych kwestyj gospodarczych względem osób lub partij politycznych objawia się wśród kół społecznych żywo. Żądają one, jak mieliśmy tego niedawno bardzo wymowne dowody, coraz wyraźniej i coraz dobitniej,

ażebym zaprzestano zabawy elementami, które stanowić powinny trzon ładu i czynnik równowagi narodowego gospodarstwa, podczas gdy dziś są przedmiotem przetargów na giełdach, które często o ich wielkiem znaczeniu dość słabe mają wyobrażenie.

MARJAN TURSKI

CZY NALEŻY REDUKOWAĆ SZKOLNICTWO WYŻSZE?

REDUKCJE BUDŻETU państwowego stały się koniecznością chwili. Każdy rozumie bezwzględna potrzebę ich dokonania — tak samo, jak każdy rozumie również, że same przez się nie mogą być one i nie są podstawą naprawy skarbu. Są one, oczywiście, jednym ze środków, który — stosowany prowizorycznie — powinien umożliwić rządowi przejście do racjonalnej polityki finansowej. Wobec tego nikt, ani osoby ani urzędy nie mogą bronić się przed redukcją. Żadne względy osobowe ani sentymenty tu roli grać nie mogą. To też nie można wysuwać hasła jakiegokolwiek równomierności lub proporcjonalności redukcji. Nie można mówić, że każdy „resort“, każda agenda rządowa powinna być uredukowana o tyle to a tyle procent.

Nawet i prowizoryczna redukcja powinna być dokonana podług jakiegoś sprawdzianu.

Sprawdzian ten — to w tym wypadku jedynie celowość, to znaczy, że redukować należy to, czego redukcja najmniejszą wyrządzi Państwu szkodę. Na to zgodzą się wszyscy. Redukcja dotknęła i naszą wyższą szkołę. Zdawałoby się, że wszystko w porządku, redukuje się wszystko, więc i wyższe szkolnictwo także. Redukuje się w tej dziedzinie wszystko, więc wydatki rzeczowe, więc płace profesorów, całe katedry wreszcie...

Czyni się to tem łatwiej, że przedtem nadługo już lansowano i w prasie i w pewnych nawet kołach naukowych pogląd, że w Polsce jest, jeśli nie wyższej oświaty, to w każdym razie samych wyższych zakładów za dużo. Powtarzano, że jest za dużo uniwersytetów, że niema rzekomo dostatecznej liczby kandydatów dla obsady katedr, że skurczenie uniwersytetów jest pożądane i t. d. Nie wiadomo, czy tego rodzaju poglądy przekonały większość społeczeństwa, czy wogóle zostały ugruntowane, ale że one stworzyły pewną jak gdyby podstawę, na której redukcja wydatków na wyższą szkołę znalazła oparcie moralne, to rzecz więcej niż pewna. Do tego jeszcze z naciskiem dodać potrzeba, że do tych poglądów o zbyt wielkiej u nas liczbie wyższych zakładów naukowych znakomicie pasowały rozpowszechnione narzekania na nadmiar inteligencji umysłowej. Wszystko to stworzyło tło dla redukcji nader pomyślne. I zakładów wyższych zbyt wiele i inteligencji za dużo — wówczas, gdy zachodzi potrzeba redukcji budżetowych, więc niema co się zastanawiać.

Tymczasem sprawa wcale nie jest tak prosta. Społeczeństwo, cierpiące na nadmiar inteligencji w samej zasadzie jest nie do pomyślenia. Ani historia takich zjawisk nie zna, ani nawet teoretycznie taka sytuacja nie da się pomyśleć. Pojęcie nadmiaru inteligencji zarówno w stosunku

do konkretnej jednostki, jak i w stosunku do całego społeczeństwa, zawiera w sobie sprzeczność wewnętrzną. Powiedzmy sobie szczerze i stanowczo: nadmiaru inteligencji, nadmiaru ludzi wykształconych wogóle być nie może.

A teraz pomyślmy o Polsce. U nas ten nadmiar jeszcze mniej jest możliwy niż gdzieindziej. Całe połacie kraju są jeszcze pozbawione elementarnych sił lekarskich, prawniczych, inżynierskich, o tem wie każdy. Prowincja nasza, a zwłaszcza Wschód, łakną poprostu inteligencji we wszystkich postaciach. A to, że w stolicy jest trochę za dużo kandydatów na posady urzędników w urzędach centralnych, tego chyba nikt w poważnej dyskusji na uwagę brać nie może. Zapewne, że z pożytkiem można wprowadzić pewną planowość w zakresie skierowywania młodzieży do jakichś poszczególnych gałęzi nauk, ale w każdym razie kształcenie jej w jakimkolwiek kierunku — oprócz wielkich korzyści — Państwu przynieść nie może...

Więc może jednak samych zakładów naukowych jest zbyt wiele? Statystyka tego nie wykazuje. Jeśli brać naprz. stosunek ilości mieszkańców do ilości katedr uniwersyteckich, to Polska w Europie zajmuje miejsce 11, a obrazowo — drugie od końca (nie licząc Rosji). Pod względem ilości katedr medycznych w stosunku do 1 miliona mieszkańców Polska zajmuje w Europie 3-cie miejsce od końca, pod względem ilości katedr ekonomicznych — ostatnie (i to podczas ciężkiego kryzysu ekonomicznego). Tak samo rzecz się ma z katedrami matematycznymi (ostatnie miejsce) i historycznymi (czwarte od końca) i t. d. *) Już te pobieżne dane wykazują, że o nadmiarze w Polsce szkół wyższych ze stanowiska statystyki mowy być nie może. Pozostaje więc jedynie chyba wyczuć intuicyjne. Pomińmy zupełnie wątpliwą wartość wyczuć tego rodzaju w tej dziedzinie. Mogą one być rozmaite i brak dla nich jakiegokolwiek sprawdzianów. Ale choćby kto intuicją odczuwał konieczność redukcowania w Polsce oświaty wyższej, to i wówczas powiedzieć mu musimy, że z ilością wyższych zakładów naukowych rzecz się ma tak samo, jak i z ilością inteligencji. Za dużo jej u nas niema. Dotychczas wiadomo tylko, że w niektórych wyższych zakładach naukowych poprostu brak miejsca dla młodzieży i jej prac, niektóre zaś posiadają zbyt dużo słuchaczy i to źle odbija się na nauce. To są fakty powszechnie znane.

*) Dane statystyczne zapożyczone są od Prof. Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, p. E. Zylńskiego.

Więc być może zakłady te są źle obsadzone, być może siły nauczycielskie są nieodpowiednie? Autor niniejszego artykułu nie posiada kompetencji, aby w tej materii się wypowiedzieć. Żadną miarą nie czuje on się powołanym do wypowiedzania oceny kwalifikacji naszego ciała profesorskiego. Ale z całą pewnością pozwala on sobie twierdzić, że gdyby tak nawet było, a co wcale nie zostało stwierdzone, to i wówczas redukcje budżetowe nie są żadnym środkiem do usunięcia tego zjawiska. Niewykwalifikowane siły profesorskie, o ile są, mogą i muszą być zastąpione przez wykwalifikowane w drodze właściwej, która, każdy to rozumie, nie ma nic wspólnego z redukcją budżetową.

Widzimy więc, że redukcje budżetu wyższej oświaty następują w okolicznościach nader niepomyślnych. Ale mogą być konieczności nieprzyparte. Pierwej niż je uznamy, zważmy skutki zarządzeń redukcyjnych. Uprzytomnijmy sobie, że każda zwinięta katedra, każde ograniczone laboratorium nie tylko zmniejsza wydajność pracy dzisiaj, bo to można byłoby znieść, ale pozbawia przyszłość koniecznych pracowników, równa się zjedzeniu nasion podczas głodu. Każda redukcja płacy profesorskiej zmniejsza w następstwie dopływ nowych sił profesorskich i to właśnie kwalifikowanych. Czy możemy pozostawić zawód

profesorski wyłącznie dla ludzi zamożnych, kiedy nasze warstwy biedne wydały już tylu znakomitych uczonych?

Jakie stąd wnioski? Czy można powiedzieć, że należy zaniechać redukcji wydatków na wyższą oświatę? Sądzę, że tak. Wzrost wydatków oświatowych stanowi nieraz chlubę i dumę społeczeństw. Być może, jeżeli Państwo nie może rozszerzać wydatków na oświatę wyższą, przyszedł już raz wreszcie czas, aby pomyśleć u nas o poparciu wolnego szkolnictwa wyższego, które tak kwitnie w tylu krajach, a u nas jest jeszcze w zupełnem zaniedbaniu? Może wyższa szkoła niepaństwowa uwolni Państwo od szeregu nowych przyszłych wydatków?

Wszystko to są rzeczy do szerokiej i gruntownej dyskusji. Ale jedna rzecz w tem wszystkim jest pewna: jeśli dokonywuje się tak wiwisekcyjnej rzeczy, jak redukcje wydatków na oświatę wyższą, to w żadnym wypadku nie może się to odbywać przy jednoczesnem szeregowaniu poglądu, że mamy nadmiar inteligencji, nadmiar katedr, nadmiar wyższych zakładów naukowych. Redukcja budżetu wyższej szkoły nie może być w Polsce rozumiana, jako środek naturalny i uzasadniony, możemy w niej widzieć jedynie tragiczny moment przejściowy bieżącej doby historycznej.

MICHAŁ ORZECKI

SYMBOLICZNA DATA

PO RAZ już ósmy od czasu wskrzeszenia Państwa Polskiego obchodzimy w roku bieżącym pamiątkę uchwalenia na Sejmie Czteroletnim — Konstytucji; dzień 3-go maja został w odrodzonej Rzplitej podniesiony do godności święta narodowego, — tak nam jest droga tradycja Konstytucji Majowej. W okresie długich lat niewoli naród polski otaczał szczególniejszą cześć tę tradycję, w której łączyły się wszystkie najwznioślejsze dążenia narodowe i która była zawsze źródłem świeżych wzruszeń niepodległościowych. Mijały lata i mijały pokolenia — nie przeminęła tylko cześć narodowa dla Wielkiej Konstytucji, aż stała się arką przymierza między Rzpltą przedrozbiorową a Rzpltą dzisiejszą.

Dzisiaj, oczywiście, inaczej już patrzymy na pamiątkę 3-go maja i inne uczucia działają na naszą w tym dniu wyobraźnię; nie dziwnego, patrzymy już obecnie na Konstytucję 3-go maja przez pryzmat wolności i państwowości. To też „realna wartość“ tej polskiej *magna chartae libertatis* rozplywa się w historii, pozostaje jedynie symbol; symbol wielkiego dzieła, godnego najświetniejszych czasów Polski, a dokonanego przez pokolenie, oglądające rozbiór i upadek własnego państwa, zwanego do ostatka dumnie Najjaśniejszą Rzpltą.

Jak się to stało, że naród, który wydał Konstytucję, jeśli już nie będącą ustawą, reformującą do gruntu stosunki państwowe, to w każdym razie usuwającą najkardynalniejsze wady ówczesnego ustroju Polski i stanowiącą poważną podstawę do dalszych reform, — jak się to stało,

że naród taki upadł i pozwolił upaść własnemu państwu? Czemże była owa Konstytucja, że się przez nią nic nie zmieniło w narodzie?

Warto nad temi tragicznymi pytaniami zastanowić się — zwłaszcza dzisiaj, gdy w gmach naszego państwa wałą gromy i napierają na nas ciężkie terminy, z żywiołem których dać sobie rady dotąd nie umiemy. A przecież posiadamy jedną z najdemokratyczniejszych Konstytucyj w świecie! Analogie nasuwają się tu same.

Konstytucja Majowa była dziełem kilkudziesięciu mocnych indywidualności, które potrafiły wolę swoją narzucić całemu Sejmowi i do uchwalenia wiekopomnej ustawy go nakłonić po długich targach i wahanjach; ba, potrafiły nawet wciągnąć do tej obywatelskiej roboty słabego i tchórzliwego króla, dając mu ostatnią okazję do rehabilitacji imienia.

Lecz to wielkie dzieło przyszło już za późno: ani Sejm, ani król — nie zdołali zorganizować w nowym duchu państwa. Tak że, gdy przyszła zdrada haniebniej pamięci Szczęsnego Potockiego, Seweryna Rzewuskiego i hetmana Branickiego, grupa samobójcza wydała Targowicę, a król nie tylko nie miał siły jej się skutecznie przeciwstawić, lecz sam do niej przystąpił; nawet Kółłatał się zachwiał. Cóż dopiero mówić o hasle szlacheckiej...

Płyną stąd dla nas dwie nauki; wystarczy kilkudziesięciu tegich głów i zdecydowanych indywidualności, aby obudzić z marazmu parlament — to jest nauka jedna, a druga — że na-

wet najlepsza ustawa nie uzdrowi życia, skoro przychodzi za późno.

Rzeczywiście, patrząc na dzisiejsze nasze Izby Prawodawcze, przychodzi mimowoli na myśl Sejm Czteroletni, że — gdyby się znalazło, jak tam, kilkudziesięciu posłów, działających solidarnie, tylko w imię interesu państwowego, nie oglądając się na interes partii politycznej, do której należą; gdyby ci posłowie mieli cywilną odwagę postępowania — to mogliby obudzić z bierności cały Sejm, czyniąc zeń źródło tężyzny państwowej, a nie — jak dotąd — nieustannej chwiejności i słabości.

Co do wniosku drugiego, to wydaje się nam, że w umysłach dojrzała już konieczność pewnych reform ustawowych, a dotyczących: wzmocnienia

władzy wykonawczej, zmiany ordynacji wyborczej celem „polepszenia” Sejmu, niektórych zagadnień gospodarczych i t. p. W Sejmie sprawy te poruszane są często, lecz zawsze ubocznie i bez zbytniego nacisku. Tymczasem zaś są to sprawy pilne i ważne. Należy baczyć, aby reformy nie przyszły za późno.

Oto są refleksje na dzień dzisiejszy ex re Konstytucji 3-go maja, której pamiątkę święcąc, pamiętać należy, że data ta jest symbolem, który pobudzać winien w nas najlepsze dążenia i nastrojać wolę na najwyższy ton.

Wtedy symbol ten nabierze cech żywotności i stanie się motorem twórczym naszych czasów.

C. P.

WNIOSEK, KTÓRY PRZEJŚĆ MUSI

PRZED KILKUNASTOMA dniami Klub Sejmowy Chrześcijańskiej Demokracji — przy poparciu Związku Lud.-Nar., Narod. Partji Rob. i Piasta — wniósł do łaski marszałkowskiej następujący wniosek:

„Sejm, jak również Senat, mogą się rozwiązać mocą własnej uchwały, powziętej większością $\frac{2}{3}$ głosów, przy obecności połowy ustawowej liczby posłów, względnie senatorów. W razie powzięcia takowej uchwały przez Sejm, równocześnie z samego prawa rozwiązuje się Senat i odwrotnie.

Prezydent Rzeczypospolitej może rozwiązać Sejm i Senat orędzim, kontrasygnowanym przez Prezesa Rady Ministrów.

Wybory odbędą się w ciągu 90 dni od dnia rozwiązania: termin ich będzie oznaczony bądź w uchwale Sejmu, względnie Senatu, bądź w orędziu Prezydenta o rozwiązaniu Sejmu i Senatu.

Wniosek ten zmierza w kierunku zmiany art. 26-go Konstytucji. Główna i zasadnicza zmiana artykułu leży w normie, nadającej Prezydentowi Rzpłtej prawo rozwiązywania Sejmu i Senatu

NA POSTERUNKU

FAMA STUGĘBNA

NIEDAWNO OPINJA publiczna potrząśnięta została tragicznym wypadkiem, jakim było zabójstwo b. prezesa Pocztovej Kasy Oszczędności, ś. p. Huberta Lindego. Morderstwo to, zostało, oczywiście, dokonane na rachunek własny obłąkanej, czy zdegenerowanej jednostki; sąd niebawem zajmie się osobą zabójcy, zbada okoliczności zbrodni i wyda wyrok — nie mamy tedy potrzeby zajmować się teraz jego osobą.

Lecz zabójstwo to ma i drugą stronę — społeczną, której uważnie przyjrzeć się należy, bo dotyczy ona, być może, najistotniejszych zagadnień naszego życia narodowo-państwowego.

Spróbujmy zanalizować sytuację.

Sierżant Trzmielewski, zabójca ś. p. Lindego, oświadczył, że działał samodzielnie, że — zabijając — postąpił dobrze, bo zgładził ze świata człowieka, który działał na szkodę Państwa Polskiego, który, — jako jeden z wielu — był winnym tego ciężkiego położenia, w jakim Polska się obecnie znajduje. A więc on, sierżant Trzmielewski, obawiając się uniewinniającego wyroku Sądu nad Lindem, wymierzył mu sprawiedliwość — w imię dobra publicznego, z pobudek moralnych, jako samowolny mściciel krzywdy społecznej.

Taka jest psychologia sierżanta Trzmielewskiego. Samą sprawę Lindego odsuwamy tutaj na bok.

Czy możemy przejść nad tego rodzaju rozumowaniem do porządku dziennego, oczekując na wyrok Sądu?

Wyrok sądowy nad Trzmielewskim ograniczy się z natury rzeczy do zakresu orzeczenia w oderwanej sprawie zbrodni, rozumowanie zabójcy zostanie, oczywiście, wzięte na uwagę — i, co najwyżej, stanowić może okoliczność procesu, dla opinii publicznej przepadłoby ono nazajutrz po wyroku, tymczasem jednak, według naszego zdania, stanowi ono bodaj clou całej sprawy, gdyż stwarza pomost między zabójcą, a całym społeczeństwem, które w świetle takiego rozumowania staje się niemal moralnym współnikiem zbrodni.

Nie idźmy daleko w uogólnieniach. Jednak powiedzmy otwarcie, że Trzmielewski... miał współników; miał ich wielu, może setki, może tysiące, a może milion: całą tę stugębną famę, która ryczy, nie przebieając w argumentach, że wszyscy dygnitarze państwowi szachrują, że urzędnicy kradną i biorą łapówki, że w wojsku lęgnie się zdrada i przekupstwo, że posłowie i senatorowie uprawiają nepotyzm i są na usługach kapitału, że w każdej instytucji państwowej i społecznej leży się korupcja, że sądy (nawet sądów nie oszczędzono!) muszą się liczyć z nastrojami politycznymi, że... że... że — i t. d. rozlewa się ta fala plotek, kalumnji, gadulstwa, nie szczędząc nikogo i niczego. A już trzeba przyznać, pewien odłam prasy świetnie sekunduje tej akcji, zohydzenia wszystkich, a zwłaszcza tych, kogo los postawił na widowni.

drogą decyzji własnej, za kontrasygnatą Prezesa Rady Ministrów.

Wniosek ten w powodzi ostatnich wypadków politycznych i gospodarczych nie wywołał gromkiego echa w społeczeństwie, na co bez wątpienia zasługuje, gdyż wprowadza on do naszej Konstytucji nową zasadę, która może okazać niebawem zbawienno wpływ na kamerton prac parlamentarnych — przez nadanie Prezydentowi prawa rozwiązywania izb prawodawczych.

Dzisiaj posłowie i senatorowie są za swoje działania parlamentarne zupełnie nieodpowiedzialni, mogą sobie robić w Sejmie, co im się tylko żywnie podoba — bo wiedzą, że w czasie kadencji pięcioletniej nikt sądzić ich nie będzie. A nim minie pięć lat, niejedyn ich grzech z pamięci wyborców uleci, — i jakiś tam mandacik znowu do ręki wpadnie. Wprawdzie istnieje teoretyczna możliwość rozwiązania Sejmu i Senatu przed upływem kadencji, ale stać się to może na podstawie kwalifikowanej większości Sejmu, lub Senatu. Jest to możliwość jedynie potencjalna, gdyż nikt nie kręci sam na siebie bicz. Każda władza ma to siebie, że nie lubi ustępować dobrowolnie. To też w tych warunkach nie jest prawdopodobne, abyśmy mogli oglądać rozwiązanie Sejmu.

Niema siły tedy w Polsce, któraby umiała pobudzić Izby do żywszej działalności, do liczenia się z koniecznościami państwowymi, do na-

brania przeświadczenia, że zbyt swawola polityczna — może posłów pozbawić mandatów. To zaś poczucie bezkarności wytwarza polityczną indolencję.

Są luki w naszej Konstytucji, a wśród tych luk jedną z największych jest — ustawowa słabość władzy wykonawczej, która może się jedynie, jak w teatrze, przyglądać grom partyj sejmowych, a nie może tym partjom pogrozić palcem, — co najwyżej... w bucie. Ten stan rzeczy był uważany za najdemokratyczniejszą zdobycz naszej najdemokratyczniejszej Konstytucji.

Przejście wniosku powyższego może mieć b. daleko idące zbawienne skutki, poprostu może to okazać się uzdrowieniem Sejmu, który będzie czuł, że rząd może się w każdej chwili odwołać do referendum obywateli drogą rozwiązania Sejmu i rozpisania nowych wyborów. Partje będą się musiały z tem poważnie liczyć i kompromisy państwowy łatwiej da się wytworzyć.

Naturalnie, że wniosek ten jest minimum wymagań w kierunku reformy Konstytucji — jest jednak tym minimum ostatecznym, odrzucenie którego pograży Sejm w ostateczną apatię i anarchję — co skompromitować może doszczętnie parlamentaryzm.

Do sprawy tej powrócimy jeszcze niejednokrotnie, tutaj powiemy krótko: jest to wniosek, który nie może być przez Sejm odrzucony.

C. P.

Jak np. ustosunkowuje się do nowomianowanego ministra ten rodzaj opinii? Czy z przychylnością, jak dla człowieka, który wziął na swe barki ciężkie brzemie odpowiedzialności społecznej? Czy z rezerwą trzeźwą? Czy bodaj z wyczekującą obojętnością? Nic podobnego. Pierwsze słowo stugębnej famy z pewnością brzmi: człowiek przypadek. Drugie: karierowicz. Trzecie: dostał się do złobu. Czwarte: utrzymuje trzy domy, skąd na to bierze? A piąte brzmi mi już całkiem prosto: złodziej.

I tak każdy człowiek, którego los postawi cokolwiek wyżej od sąsiada, lub znajomego, zasługuje przez to samo na najostrejszy wyrok stugębnej famy, choćby to był człowiek najuczciwszy.

Zapewne, nie twierdzimy tutaj, że wszyscy dygnitarze i urzędnicy państwowi byli, lub są ludźmi wysokiej próby moralnej — ale jedna, czy kilka nawet parszywych owiec nie decyduje o wartości całego stada. Tymczasem u nas dzieje się odwrotnie: wszędzie widzi się same tylko parszywe owce.

A już co za radość ogarnia stugębną famę, gdy rzeczywiście zoczy jakieś uchybienie. Poprostu tryumfuje. Nic to, że człowiek, któremu, jak się to mówi, noga się powinęła, do niedawna jeszcze był „wzorem uczciwości, pracy ofiarnej, tężyzny energii i t. d.“ — huzia zaraz na niego, bez pardonu. Sto beczek błota wylewa się na niego, wypuszcza się całe morze infamji, oszczerstwa, plotek — jakby to właśnie był najgroźniejszy zdraj-

ca i złodziej. A potem przychodzi wyrok sądowy — i okazuje się często, że to było tylko drobne przewinienie, lub nic. Stugębna fama wtedy milknie, lecz któż wróci nieszczęsnej ofierze długie miesiące zgryzot i dobre imię, zaprzepaszczone w powodzi kalumnij?

Jeszcze jedno. Jakże surowo, bezlitośnie i niesprawiedliwie obchodzi się stugębna fama z mężami stanu, którzy opuszczają urzędy. Często minister, który cieszył się jeszcze do dzisiaj opinią człowieka uczciwego, już jutro zostaje wystawiony pod pręgierz stugębnej famy, jakby popełnił największą zbrodnię stanu. A on tylko podał się do dymisji, bo plan działania mu się nie powiódł.

Któż w tych warunkach podejmie się pracy publicznej? Któż zechce narażać się na odsądzenie od czci i od wiary? Kto zaryzykuje wreszcie swą karierę?

I cóż dziwnego, że w tej atmosferze rodzą się w mętnych umysłach niedorzeczne postanowienia samosądów. Stugębna fama dodaje im dość odwagi i stanowczości.

Ofiarą tej stugębnej famy stał się również i Hubert Linde — przy pośrednictwie zbrodniczej ręki Trzmielewskiego.

Samosądy należy ściagać bezlitośnie — lecz dotąd ich się nie wypłeni, dopóki nie utnie się stu łąbów hydrze — stugębnej famie publicznego plotkarstwa.

CZESŁAW PECHE

LISTY ZAGRANICZNE

WŁOCHY, NIEMCY A POLSKA

RZYM, w kwietniu 1926 r.

IDEE POLITYCZNE, a szczególnie idee, dotyczące polityki zagranicznej, kielkują bardzo wolno w głowach polityków polskich. Może to i dobrze. Strzeże nas to często od zbyt szybkich, a—co za tem idzie—niedostatecznie przemyślanych aktów. Ale nie należy w metodzie tej przesadzać, jak to czyniła często dyplomacja austriacka, co nie zbyt dobre wydało owoce. Niestety jednak wraz ze znaczną liczbą cesarsko-królewskich urzędników, którzy do najwyższych w Rzeczypospolitej doszli urzędów, pewien nadmiar tej, strachem przed odpowiedzialnością podszytej, ostrożności dostał się i do Pałacu Brühlowskiego.

Po czterech blisko latach panowania faszyzmu na Półwyspie Apenińskim, pewna część naszej opinii publicznej zaczęła dochodzić do przekonania, iż wobec przejścia władzy w ręce lewicy nad Sekwaną, należałoby zwrócić oczy naszej polityki w kierunku Wiecznego Miasta.

Za impuls do takiej akcji posłużyły naturalnie te tarcia, jakie zaszły pomiędzy Włochami a Rzeszą w początku roku bieżącego z powodu zwykłego niezgrabstwa, z jakim Niemcy zabrali się do obrony interesów swoich mniejszości narodowych, pozostających poza granicami ich państwa.

Dwie wybitne antyniemieckie mowy Mussoliniego natchnęły polityków naszych nadzieją, że Włochy po chwilowych powojennych umizgach w stronę Berlina, zrozumiały nareszcie, że pomiędzy nimi a Niemcami są interesy sprzeczne pierwszorzędnej wagi. Tak jest niewątpliwie. Nikt nie rozumie tego lepiej od obecnego kierownika włoskiej nawy państwowej.

Ciążenie Niemców do Adrjatyku, od którego są odcięci przez utratę Triestu, jest rzeczą niewątpliwą i nieuniknioną. Wciąż rosnący i wzmagający się naród niemiecki musi fatalnie dążyć do zapewnienia sobie ujścia na południe, aby rozlać się od morza do morza. Jest to jedna z takich tendencji uwarunkowanych pozycjami geograficznymi i etnograficznymi, z którymi bezwarunkowo należy się liczyć we wszystkich kalkulacjach politycznych na długą metę. W tej tendencji swej naród niemiecki musi się spotkać bezsprzecznie z wprost przeciwną tendencją narodu włoskiego, którego warunki geograficzno-etnograficzne pchają we wprost przeciwnym kierunku, t. j. do opanowania obu wybrzeży Adrjatyku i uczynienia z niego „mare nostrum”. Jasnym jest dla każdego, iż starcie obu tych kierunków jest koniecznością i że uniknąć go niepodobna. Jest to zresztą proces dziejowy przewlekły, który przechodził już i w przyszłości przechodzić będzie jeszcze wiele różnych faz, mniej lub bardziej ostrych, różstrzyganych wobec obecnych tendencji ogólnych, miejmy nadzieję, raczej na drodze dyplomatyczno-arbitrażowej, ale nie wykluczający bynajmniej i możliwości zbrojnego zatargu.

Jak każdy problemat polityczny sprawa powyższa jest skomplikowana wieloma innymi czynnikami, z których niewątpliwie najmniejszym jest fakt bezspornych praw do części terytoriów nadadrjatyckich ze strony Południowej Słowańszczyzny. Ale pozostawmy chwilowo sprawę tę na uboczu. W obecnem stadium naszego rozumowania chodzi jedynie o ustalenie faktu, że pomiędzy interesami Włoch i Niemiec istnieją sprzeczności, których niepodobna wyrównać i z którymi w kalkulacjach naszych należy bezsprzecznie się liczyć. Od końca wojny sprzeczności te występują z mniejszą lub większą jaskrawością pod postacią t. zw. sprawy Anschlussu austriackiego.

Pierwszym krokiem na drodze ku morzu południowemu byłoby dla państwa niemieckiego połączenie z Austrią. Mówimy umyślnie dla „państwa” niemieckiego, gdyż to nie zbliżyłoby „narodu” niemieckiego do wybrzeży ciepłego morza. Nie łudźmy się bowiem, aby etnograficznie, a nawet uczuciowo dzisiejszy naród austriacki był mniej niemieckim od Bawarów lub Württembergczyków. Z tego punktu widzenia i w płaszczyźnie historycznego rozwoju dzisiejsza walka o utrzymanie niepodległości Austrii wydaje się tylko drugorzędnym epizodem o ograniczonym stosunkowo znaczeniu.

Państwo buforowe na wypadek konfliktu ma znaczenie praktyczne tylko wtedy, gdy gotowe jest przeciwstawić się przemarszom wojsk obcych przez swoje terytorjum. A czyż jest ktokolwiek nawet wśród najzacieklejszych przeciwników Anschlussu, ktoby się łudził, że Austrija zechce w stosunku do Włoch odegrać taką rolę, jaką w tak szlachetny i bohaterski sposób odegrała Belgja w stosunku do Francji w roku 1914? Czyż nie można spodziewać się raczej czegoś zupełnie przeciwnego?

Z tego zdają sobie sprawę najdokładniej przedewszystkiem Włosi. To też walka ich przeciw Anschlussowi jest w pierwszym rzędzie walką o symbol. Nie chodzi tu o korzyści lub szkody realne. Włączenie Austrii do Rzeszy, byłoby przedewszystkiem widomym znakiem takiego wzrostu siły Niemiec, który dałby im możliwość nieliczenia się z wolą zwycięskich państw zainteresowanych. Stara i doświadczone dyplomacja włoska doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, że w praktyce można doprowadzić do stanu w zupełności zastępującego formalne przyłączenie Austrii do Rzeszy, nie narażając się na żaden protest ze strony przeciwników Anschlussu. Wystarczy do tego szereg niewinnych na pozór konwencji, jak np. kolejowa, celna, pocztowa etc. A istnieją jeszcze przecież—pomimo wszystko—klausule tajne.

Nie ulega zatem wątpliwości, że dyplomacja nasza ma słuszość, jeżeli uważa, że pomiędzy Włochami a Niemcami istnieją zasadnicze sprzeczności interesów, z którymi liczyć się należy, robiąc

obrachunki na długą metę. Sprawa jednak nie jest tak prosta. Już zaznaczyliśmy powyżej, że kwestja Adrjatyku z punktu widzenia stosunków włosko-niemieckich komplikuje się stanowiskiem Słowian Południowych. Słowiańszczyzna jest zagrożona w swoich posiadłościach nadadrjatyckich znacznie bardziej przez Włochy, niż przez Niemcy, przynajmniej w fazie obecnej i prawdopodobnie przez niedający bliżej określić się przeciąg czasu. To już samo daje możliwość całego szeregu kombinacji. Ale nadto jeszcze Południowa Słowiańszczyzna ma swoje interesy bałkańskie, gdzie styka się w wielu punktach (Albanja, Saloniki etc.) z interesami Włoch, które nie zawsze biegają w tym samym kierunku. Nad temi interesami natury, że tak powiemy, lokalnej dla Słowian Południowych góruje kwestja Słowiańszczyzny wogóle i jej stosunek do Rosji. Imperjalistyczny pęd tej ostatniej, pomimo obecnego częściowego jej obezwładnienia, nie może pozostać bez wpływu na politykę Włoch.

Rosja silna i imperjalistyczna bez wątpienia zagraża Włochom na Adrjatyku, nie może ona bowiem pozostawić bez pomocy Słowian Południowych, nie narażając na szwank swego prestige'u, jako największej potęgi słowiańskiej. Dziś oczywiście niema o tem mowy, to też pomimo bieżących przeciwieństw w poglądach społecznych — stosunki faszystowskich Włoch i sowieckiej Rosji są zupełnie poprawne. Stosunki te mogą się jednak skomplikować w razie tarć na bliskim Wschodzie, gdzie sytuacja obecna zdaje się nie wykluczać możliwości konfliktu pomiędzy Włochami a sprzymierzoną z Sowietami Turcją. W każdym razie jednak współzawodnictwo z królestwem S. H. S. i — co za tem idzie — pewien stosunek obawy przed wzmożeniem wpływów rosyjskich na Bałkanach i na Morzu Śródziemnem w ogólności — jest drugim stałym czynnikiem we włoskiej polityce zagranicznej.

Trzecim tego rodzaju czynnikiem jest z natury rzeczy Francja. Nie mówmy o francuskich prowincjach z ludnością mieszaną, jak Nizza lub Sabaudja — prastara kolebka dynastji panującej we Włoszech. Istnieje daleko bliższy powód tarć. Są nim kolonie. Włochy mają około pół miliona przyrostu ludności rocznie, a Francja, której ludność się zmniejsza, jest posiadaczką najlepszej części kolonij afrykańskich. Zapewne wspomnienia wspólnie odniesionego zwycięstwa i może obawa przed rewanzem ze strony Niemiec łągają ten powód tarć. Ale mówmy realnie! Życie ma swoje prawa. Ludność włoska rośnie i, chcąc nie chcąc, musi szukać sobie ujęcia. Rozpatrując politykę włoską w dalekiej perspektywie, musimy i to brać na uwagę.

Tych trzech czynników we włoskiej polityce zagranicznej wystarczy najzupełniej, aby wyobrazić sobie ten splot faktów, od których zależy w każdym poszczególnym momencie stosunek Włoch do tego problemu, który nas interesuje specjalnie, t. j. do stosunków włosko-niemieckich. Spójrzmy wstecz. Do niedawna jeszcze Niemcy swym austriackim ramieniem silnie trzymały część adrjatyckiego wybrzeża, a Włochy pomimo to należały do trójpzymierza. Do niedawna również carska Rosja opiekowała się „małą” Serbią, a Włochy poszły do wielkiej wojny światowej

w przymierzu z Rosją. Problem współzawodnictwa kolonialnego istniał już, gdy wojska włoskie tworzyły jeden front z armją angielską i francuską, ciągnący się (z małą przerwą szwajcarską) od północnego wybrzeża Belgji do Adrjatyku. Wszystko to dowodzi, że ta najbardziej zwinna i najłatwiej przystosowująca się do okoliczności dyplomacja, jaką jest (może z powodu swego położenia na szachownicy międzynarodowej polityki) dyplomacja włoska zmuszona jest ciągle wynajdywać tę linję, na której w danej chwili można najwięcej zyskać, nawet z tymczasowem poświęceniem interesów na pozostałych polach swej działalności. Wszystkie trzy powyżej wymienione czynniki trwają niezmiennie i trwać będą jeszcze czas jakiś; zmieniają się jednak stosunki ich między sobą. Grając na tych zmianach dyplomacja włoska, zmuszona jest chwycić każdą sposobność, aby w każdej poszczególnej fazie wygrywać dla siebie korzyści tam, gdzie się one najłatwiej zdobyć dadzą, poświęcając równocześnie jak najmniej z czynników pozostałych. Dlatego też, gdy myślimy o jakimkolwiek zbliżeniu z Włochami na tle zagrożenia przez wspólnego wroga najżywotniejszych interesów obu narodów — Włochów nad Adrjatykiem, nas zaś nad Bałtykiem — to z natury rzeczy musimy rozpatrzeć pytanie, czy w danym momencie sprawa ta stanowi ten czynnik, który daje Włochom w ogólnym bilansie najwięcej korzyści w porównaniu z innymi polami, na których mają oni, jak to staraliśmy się dowieść powyżej, równie trwałe i ważne interesy. Jeżeli to zważymy, to do dania sobie odpowiedzi na pytanie, czy możemy w danym momencie liczyć na zbliżenie z Włochami, będzie nam brakować jednego tylko czynnika, t. j. oceny tego, co my ze swej strony przedstawiamy dla Włoch, jako kontrahent. Odrzucimy na stronę konwencjonalne frazesy o naszej pokojowości, której nikt bez złej woli kwestjonować nie może i powiedzmy sobie otwarcie, że mamy armję bardzo dobrą, złożoną z pierwszorzędnego materiału ludzkiego i zaopatrzoną w dzielnych i zdolnych dowódców. Ale armji tej brakuje najważniejszego w dzisiejszych czasach oparcia, t. j. silnego skarbu. Jest to wielkie zło, ale zło, któremu do pewnego stopnia można zaradzić. Ofiarne społeczeństwo i wierni sprzymierzeńcy mogą zaradzić takiemu stanowi rzeczy. Mielśmy tego niezliczone dowody, choćby w ostatniej wielkiej wojnie światowej. Nie tylko o siłę wojskową jednak chodzi w danym wypadku. Pomimo, iż bez wątpienia (wbrew wszelkim nader chwalebnym poczynaniom na drodze do pokojowego załatwiania sporów międzynarodowych) siła zbrojna pozostaje nadal ultima ratio w polityce zagranicznej, niemniej jednak wobec ogólnego dążenia do pokoju i inne walory polityczne mają tu swoje znaczenie. A z tych w pierwszym rzędzie należy postawić sytuację międzynarodową.

Ta jednak nie przedstawia się dla nas zbyt pomyślnie. W ostatnich czasach poniesiliśmy cały szereg porażek, z doniosłości których nasza opinja publiczna nie zdaje sobie sprawy, Zagwarantowanie granicy francusko-niemieckiej przez Anglję, bez żadnej wątpliwości zmniejszyło znaczenie Polski, jako aljanta dla Francji, a to realnie

mówiąc, osłabiło nasz alians z Francją, bez względu na to, jak brzmią formuły traktatów. W danym wypadku jednak nawet formuły te dają temu wyraz przez poddanie procedurze ligowej wykonania zobowiązań traktatowych. Podobnemu osłabieniu uległ nasz sojusz w Rumunji. Sojusz ten, co gorsza, przez rozciągnięcie gwarancji na wszystkie granice, dał nam bardzo iluzoryczny atut rumuńskiej gwarancji dla naszych granic zachodnich, zobowiązał nas jednak do bronienia granic Rumunji wobec Węgier. Nasza niezdarna polityka bałtycka osłabiła nasze stosunki z temi państwami, do tego stopnia, że Finlandja np. wypowiedziała się jawnie przeciwko nam w sprawie miejsca w Radzie Ligi. Gdy to porównamy ze stosunkami, jakie panowały między Polską a państwami bałtyckimi poprzednio, np. w czasie konferencji genueńskiej, nasza przegrana na tym polu uwypukli się jaskrawie.

Szumnie zapowiedziane przez nasze M. S. Z. w czasie wizyty Czeczeryna w Warszawie „od-

preżenie“ stosunków z Republiką Rad, po naszych entuzjasmach locarneńskich i propozycjach traktatów gwarancyjnych z Rosją dało w rezultacie odnowienie niemiecko-rosyjskiego sojuszu, zawartego w Rapallo w r. 1922.

Wreszcie może zbliżenie z Czechami dało tym ostatnim zapewnienie, że nie będziemy nigdy nawet na drodze polubownej upominać się o utraczone przez nas na rzecz Czech terytorja. O żadnych korzyściach dla nas z tej strony nie słysząc. Na gruncie włoskim jednak zbliżenie to ma swój specjalny koloryt, a to ze względu na to, że Czesi są tu uważani jako awangarda Rosji w ruchu panslawistycznym, co nie dodaje im popularności.

To wszystko należy brać na uwagę, gdy myślimy o naszym stosunku do Włoch. Czy może się narodzić w takich warunkach coś więcej od anodynowego traktaciku „w duchu Locarna“ czas okaże.

ZYGEL

J A K S E N

Na zeszłorocznej paryskiej wystawie sztuki dekoracyjnej Polska — można to powiedzieć bez przesady — odniosła pełny triumf. Pawilon polski i ekspozycje polskie wybiły się na pierwszy plan pośród przyczynków wszystkich narodów europejskich smakiem, świeżością myśli twórczej i powagą usiłowań. Najbardziej kompetentne powagi zagraniczne nie szczędziły poklasku, wielka ilość odznaczeń artystów polskich była dowodem oficjalnego uznania. Jak to zwykle bywa w naszym społeczeństwie, najmniejsze powodzenie miał nasz udział u — nas samych: okazaliśmy sami stosunkowo najmniej radości z powodu dokonanego własnymi rękoma dzieła, a już zgoła żadnego zainteresowania nie okazaliśmy co do tego, by rezultatem wyjątkowo udanego wysiłku polskiego zapewnić trwałość.

Redakcja sądzi, że w sprawie powyższej nie można oddać głosu nikomu bardziej powołanemu, niż Autor niniejszego artykułu, który był komisarzem jenerałnym działu polskiego na wystawie paryskiej.

RED.

GDY PIERWSZA burza wojny przeleciała przez Polskę, zdawało się, że sztuka, a przynajmniej ten jej odłam, który życie człowieka ujmując w uporządkowane, hygieniczne i estetyczne formy, a zwie się architekturą i sztuką stosowaną, rozwinie nareszcie skrzydła do nowego lotu, służąc społeczeństwu do celów odbudowy zniszczonego kraju. I w istocie, tu i owdzie ruszyli do pracy architekci, powstały komitety odbudowy, dokonano sporo roboty, z której jednak powrotna fala wojny szerzej skorzystać nie dała.

Z nastaniem niepodległości, zdawało się znów, że przed sztuką polską otwary się nowe horyzonty, tym razem, zadań państwowych. Głośno było o gmachach rządowych i szkołach, a przede wszystkim o polityce artystycznej rządu i o współdziałaniu ze społeczeństwem. Widomym znakiem nadziei, że sztuka w nowej Polsce odegra ważną rolę, że będzie wciągnięta do pracy nad budową Państwa, było powstanie Ministerstwa Sztuki i Kultury. Pod wpływem tego faktu otucha wstąpiła w serca. Rozproszeni po kraju artyści zaczęli się zjeżdżać, organizować. Niejednemu porzućwszy mundur, z zapalem wrócił do swej zawodowej pracy. Zaczęły się mnożyć warsztaty, witano powstawanie szkół państwowych o programie praktycznym. Z tego pierwszego zapалу, z tych pierwszych odruchów, nie umiano jednak skorzystać. Ani rząd, ani sejm, ani spo-

łeczeństwo (pomijając objawy wyproszonej lub wymuszonej jałmużny) nie uznały sztuki za czynnik niezbędny, za czynnik twórczy w życiu państwowym, w tym stopniu, na jaki zasługiwała. Nawet narodziny szkół odbywały się wśród nieprawdopodobnych przeszkód i trudności, z ogromną stratą czasu i niepowetowaniem zaprzepaszczeniem nagromadzonej w sferach artystycznych energii. Tymczasem krucha budowa Państwa, i w innych miejscach, zaczęła trzeszczeć. Sztandar sztuki okazał się zbyt wspaniały. Zwinięto go. Zniesiono Ministerstwo, a państwową Radę Sztuk Pięknych rozpedzono bez ceremonji.

Pozostał Departament... Na to, ażeby w tych istotnie trudnych czasach zdobyć dla sztuki miejsce w Państwie poczesne, aby przekonać, że rozległe dziedziny przemysłu, jak meblarstwo, tkactwo, drukarstwo, ceramika, szklarstwo, przemysły budowlane i tyle innych wraz z niewyzyskaną dziedziną artystycznej twórczości ludu, tylko wówczas będą mogły spełnić poważną swą rolę wewnątrz i nazewnątrz kraju, gdy pójdą ręką z rozwojem sztuki i po jedynej w szanującym się narodzie dopuszczalnej drodze pod hasłem: własne najlepsze wzory, krajowy materiał i sprawność techniczna, oparta o nieocenione zdolności polskiego rzemieślnika, — na to zabrakło ludzi. Zabrakło ludzi, którzyby, z cyframi w rękę, a powagą fachową w argumentacji, potrafili przeko-

nać rząd; sejm oraz przedstawiciele kapitału i przemysłu o konieczności niezwłocznej realizacji powyższego programu, realizacji skrupulatnej, bez kompromisów, które są tu zgubniejsze niż gdzieindziej, z pominięciem biurokratycznego systemu, którego nie znoszą sztuka i przemysł, z odrzuceniem zwyczaju rozdrabniania akcji dla względów grzecznościowych, humanitarnych, politycznych. Na to, aby takiego dzieła dokonać, potrzebni byli ludzie niezależni, gotowi do poświęceń, do narażenia swego stanowiska każdej chwili, do walki ciągłej i ofiarnej, gotowi paść, chociażby jeden po drugim, aby utorować drogę następcom, lub wrócić na placówkę, gdy znowu ich godzina wybije. W nieprawdopodobnych warunkach, wśród których improwizowało się życie państwowe polskie, potrzebne były niecodzienne jednostki. Takich nie wyłoniły sfery rządowe, nie wydało społeczeństwo.

Króciutki okres złudzeń przemknął — jak sen.

Z końcem 1921 r. dzięki czujności sfer artystycznych, stał się aktualnym udział Polski w międzynarodowej wystawie nowoczesnej sztuki dekoracyjnej w Paryżu 1925 r. W owym czasie u nas dla tego rodzaju imprezy, która zapowiadała się jako olbrzymia, pierwsza po wojnie światowej, manifestacja pokojowego współzawodnictwa narodów pod egidą Francji, — atmosfera była beznadziejna. Ustalanie granic i konsolidacja wewnętrzna, litanja zjawisk, które dziś wymawiamy jednym tchem: inflacja, dewaluacja, stabilizacja, zastój i rozstrój gospodarczy oraz powszechny brak gotówki, czyniły sprawę poważniejszego udziału Polski w wystawie — zgoła niepopularną. Z drugiej strony, rozbiecie się przedwojennych ośrodków artystycznych, exodus artystów z Krakowa, rozproszenie ich po kraju dla chleba, rzucenie się zbiedniałej inteligencji do dyletanckiego zarobkowania na polu tak zwanego przemysłu artystycznego, obniżyło poziom przedwojennego ruchu i wytrąciło ster kierownictwa opinii z rąk dawnych skupień. Ale co najważniejsze, że nowy ruch w dziedzinie architektury i sztuki stosowanej, pomimo dobrych zapowiedzi, udatnych prób, ustalenia programu i ujawnienia talentów, nie wszedł jeszcze w życie, nie ogarnął społeczeństwa ani przemysłu i nie doczekał się nowej generacji artystów, którzy dopiero teraz, w epoce przygotowań do wystawy, tłumnie garnąc się do zakładanych przez państwo szkół, zaczynali przysposabiać się do nowego zawodu. Wreszcie, jak widzieliśmy, rząd nie zdołał dostatecznie ożywić i wyzyskać tych zasobów, które kryły gotowe do pracy dawne kadry artystyczne i nie dostrzegł wcale potęgi, jaka leży w przemyśle, stopionym ze sztuką.

Bądź co bądź, przygotowania rozpoczęto, organizatorów wyznaczono, pierwsze pieniądze asygnowano. I wszystko byłoby ślicznie, gdyby nie to, że o dalsze fundusze trzeba było walczyć przez lat kilka do upadłego, pod ciągłą grozą katastrofy, wśród zupełnego braku zaufania ze strony miarodajnej. Gdy dodamy kalwarię innych przeszkód, stworzonych przez — ułomności ludzkie, — a o których chciałoby się zapomnieć, otrzymamy pewnik, że wystawę, która kosztowała pół miliona złotych (z czego 100 tysięcy wróciło do

rządu w postaci inwentarza i dzieł sztuki) można było zrobić prędzej i taniej.

Artyści, którzy tworzyli ten pokaz, dali ze siebie najwyższy wysiłek, tworzyli w poczuciu najszczytniejszej misji. I oto pewnego dnia stanęliśmy w obliczu cudnej wizji i zobaczyliśmy naprawdę „Polskę w Paryżu”. A z nami zobaczył ją cały świat. Przemówiła własną szlachetną mową odrębnej sztuki, nieoczekiwanej, nieprzeczuwanej. Szedł przez centrum świata polski pochod triumfalny geniuszu rasy, twórczości artystów, rzetelnej pracy wykonawców. Mamy na to liczne dowody opinii europejskiej. Wśród powszechnego entuzjazmu przez 6 miesięcy z górą prześniliśmy w sercu Paryża cudny sen o Polsce.

Był to sen. Artyści stworzyli tę Polskę w Paryżu z niczego, na chwilę, dla honoru imienia po to, aby za powrotem, po przebudzeniu, zapaść się w nicość wraz z całym swym wysiłkiem... Jest przesada w tych słowach jaskrawych. Ale wielki czas, by światło tej jaskrawości pozwoliło dojrzeć prawdę, a nie dało zasnąć i to na zawsze.

Gdy pomimo powodzenia i rozechwytań na wystawie jedynych rzeczy, które zdradzały cechy towaru, jak kilimy i wyroby snycerskie, swoi i obcy zaczęli zapuszczać sondę głębiej w to, co się kryło poza tak świetną reprezentacyjną stroną wystawy, pełnem smaku i inwencji zaaranżowaniem całości, gdy w twardym języku handlowym zadano szereg pytań konkretnych, ile i co kraj produkuje, w jakiej ilości, w jakich terminach, podług jakich dokładnie próbek i wzorów może towaru dostarczyć, po jakich cenach stałych, detalicznie i hurtownie, a to na podstawie tego, co się widziało w naszych wnętrzach i witrynach, — trzeba było lawirować, dawać odpowiedzi wymijające, gdyż prawdziwa odpowiedź kraju byłaby kompromitacją. Łudzono się, że po wystawie, praca w domu ruszy nareszcie. Niestety, wróciwszy, zastaliśmy resztę wytwórców w rozsypce, warsztaty w upadku, artystów w depresji. Inicjatywy związków, syndykatów, towarzystw propagandy powstają wprawdzie, ale chyba po to, aby zaraz utonąć w otchłani gadulstwa, biurokracji lub pesymizmu. Co więcej, pomimo fanfary, którą nareszcie zagrała na cześć naszej sztuki, po długim ociąganiu się, także i prasa polska, daje się już wyczuć pewien przesyt, pewne zmęczenie, że się tak dużo pisze wciąż o tem samem. Ta atmosfera nic dobrego nie wróży. Mało kto rozumie, że wystawa dała niewyczerpany materiał do rozmyślań, do krytyki, do wniosków pozytywnych, i jako rzecz zaczęta, przeprowadzona i zamknięta w zwartych granicach konsekwentnej myśli, jakkolwiek obejmuje tylko pewną dziedzinę życia, zahacza o wiele i sięga w głąb wielu doniosłych zagadnień. Wielki obraz wystawy zburzono, ale pozostała nam w ręku miniaturowa. Można z niej wyraźnie wyczytać rysy, które złożyły, czasem zdołając, czasem kalecząc: sztuka i polityka, rzemiosło i dyplomacja, szkolnictwo i propaganda, prasa, rząd i społeczeństwo.

Co robić? Przedewszystkiem nie zmarnować zdobytej pozycji. Umiejętną propagandą, wydawnictwami i utrzymywaniem stosunków podtrzymać pierwszorzędną opinię, jaką zdobyła polska

twórczość na szerokim świecie. A w kraju? Hojną i silną dłońią wesprzeć szkolnictwo, które tak świetny egzamin zdało w Paryżu. Wesprzeć upadające warsztaty, tworzyć nowe, na doświadczeniach paryskich oparte, i związać je silną organizacją. Narzekaniu na ciężkie czasy i brak pieniędzy przeciwstawić ostrzeżenie, że narzekanie takie pociągnie za sobą niechybnie jeszcze cięż-

sze czasy, jeszcze większy brak pieniędzy, ale przede wszystkim ostro przeciwstawić postulat pozytywny: silnej woli, żelaznej ręki, fachowości, oszczędzania słów i ekonomji w działaniu.

Inaczej, i efekt wystawy paryskiej przemienie — jak sen.

JERZY WARCHAŁOWSKI

Z A P I S K I

SPOSÓB załatwienia przesilenia rządowego, po wycofaniu się socjalistów z koalicji, wywołał silne zarzuty i równie silną obronę.

Ze stanowiska formalnego rzecz nie nasuwa wątpliwości. Prezydent Rzplitej mianuje i odwołuje prezesa rady ministrów wedle swego swobodnego uznania. Miał więc pełne prawo nie przyjąć dymisji i czynienie mu zarzutu z tego, że dokonał aktu woli, odpowiadającego jego przekonaniu, byłoby odzieraniem go z praw, przysługujących mu wedle konstytucji, a tak skąpo wymierzonych.

Inna rzecz, jak sprawa przedstawia się ze stanowiska użyteczności publicznej. W gabinecie pozaparlamentarnym wycofanie się kilku ministrów jest rzeczą stosunkowo małej wagi. Gabinet taki stoi rzeczowością swej pracy i osobistością wykonawców programu odgrywają rolę podrzędną, byleby program był wykonywany. Tu zatem odpadnięcie tego, czy owego ministra nie nadwyręża równowagi gabinetu, który opiera się o czynniki rzeczowe, a nie osobowe. W gabinecie parlamentarnym natomiast, w którym ministrowie symbolizują poparcie i odpowiedzialność stronnictw, nie można dokonywać dowolnych zmian osobowych bez równoczesnej zmiany całej podstawy politycznej rządu. Owóż wedle utartych zwyczajów parlamentarnych taka zmiana rządowej koncepcji politycznej objawia się nazewną przez dymisję gabinetu i tworzenie nowego — chociażby przez tego samego premiera, ale przecież na nowo. Jest to po prostu warunek jasności w tłumaczeniu się położenia. Zarazem zaś jest to zabezpieczenie przed lawirowaniem polityków rządowych, zmusza ich bowiem do wyraźnego deklarowania zmian, zaszłych w przyświecających im myślach politycznych.

Skoro zatem po upadku gabinetu Grabskiego chciano koniecznie pójść u nas wzorem zachodu i utworzyć gabinet parlamentarny, to, chcąc utrzymać się w stylu, należało z faktu tego wysnuć te następstwa, jakie zwykło się snuć zeń właśnie na zachodzie. Rozumowanie jest proste. Rząd koalicyjny odpowiadał pewnej sytuacji ideowej w Sejmie, z niej się wyłonił i z jej rozpadnięciem się stracił rację swego istnienia. Powstała nowa sytuacja, zaczął się nowy rozdział działalności Sejmu i ta zmiana esencjonalna w położeniu politycznym winna była przejawiać się nazewną przez usunięcie jednego rządu, a przyjęciu na jego miejsce nowego (choćby pod tym samym premierem). Wówczas dyskusja i głosowanie nad deklaracją nowego rządu pozwoliłyby rozejrzeć się jasno

w nowem położeniu wewnątrz Sejmu. I rząd wtedy wiedziałby, kto go rodzi.

Obranie innej drogi — jakkolwiek, powtórzmy, formalnie najzupełniej uprawnione — jest jednak w praktyce zaciemnianiem zasad funkcjonowania parlamentaryzmu. Albo nie upierać się przy rządzie parlamentarnym, albo — konsekwencje.

*

OTWARCIE przesilenia byłoby było z innego względu jeszcze korzystne. Byłoby było, mianowicie, przyparciem Sejmu do muru. Mówi się — całkiem słusznie — o wielkiej szkodliwości przeciągania się u nas przesileni wskutek tego, że Sejm, po upadku jednej kombinacji ugrupowaniowej, nie umie szybko wyłonić innej. W czasie ślimaczenia się akcji tworzenia nowego rządu, praca Sejmu jest sparaliżowana, najważniejsze sprawy zalegają.

To prawda. Ale sądzimy, że jeśli Sejm byłby i w obliczu dzisiejszego przedkatastrofalnego położenia państwa niezdołny do twórczej działalności, to społeczeństwo zyskałoby tylko na takim okazaniu się niedołężności ciała prawodawczego. Społeczeństwo nie ma absolutnie żadnego interesu w tem, aby ułatwić Sejmowi ukrywanie impotencji. Jeśli Sejm chce mieć prawo do poszanowania, niech okaże siłę twórczą, równą swej pretensjonalności. Jeśli siły tej nie posiada, to niechaj to wyjdzie na jaw jak najprędzej i niech Sejm abdykuje na rzecz osób, któreby rządziły poza nim, a tylko z pełną odpowiedzialnością przed opinią kraju, no i przed — Trybunałem Stanu.

*

ISTNIAŁA w dawnej Austrii ulubiona polityka, którą określano w gwarze wiedeńskiej mianem *fortwursteln und fortfretten*. Była to polityka nastrojona na „byle dotrzeć“ do przyszłego tygodnia, lub przyszłego miesiąca. Polegała na łataniu jednej dziury wykrawkiem, odsłaniającym inną dziurę, na unikaniu wszelkich posunięć zasadniczych, wszelkich głęboko sięgających operacji sanacyjnych, a ograniczaniu się natomiast do zatykania koncesyjkami ust najgłośniejszych krzyżujących, do załatwiania wszystkiego półkompromisami, które wybuch niezadowolenia przenosiły z jutra na pojutrze. Niczego nie wystrzegano się w Austrii tak, jak chwytania wołu za rogi i decydowania się na cokolwiek pomyślanego na szerszą skalę. Aby do przyszłego terminu.

Taka była metoda dojutrkowania w murszej Austrii.

*

JAK WSZYSTKO u nas, zamordowanie Huberta Lindego dało asumpt do zaciętej polemiki partyjnej. Czynowi Trzmielewskiego uczyniono zaszczyt, że rozpatrywano go pod kątem widzenia tej, czy innej ideologii partyjnej, próbowano wciągnąć w grę wpływ prasy itp. Daleko właściwiej—zdaniem naszym—patrzeć na ten wypadek po prostu jako na objaw rodzimej skłonności do samowoli i właściwe prymitywnym stopniom uspołecznienia stawianie własnego zdania ponad sąd powołanych czynników publicznych.

Pojęcia nasze o rządach prawa są jeszcze tak mętne, że nie uważamy za horrendalny fakt, iż ktoś sam wydaje na drugiego wyrok (i to jaki wyrok) i sam go wykonywa. Dla Anglika nie mogłoby tu ani przez chwilę istnieć jakiegokolwiek zagadnienie, godne poważniejszego zastanowienia się. My natomiast zapuszczamy się w subtelne dociekania nad motywami takiego kroku, jak gdyby w społeczeństwie, pretendującym do kultury zachodniej, cokolwiek mogło tłumaczyć tę specyficzną manję wielkości, jakiej objawem były czyny Niewiadomskiego, Muraszki, Trzmielewskiego. Nota bene, trzeba przyznać, że Niewiadomski, śmiało żądając dla siebie pełnego rygoru kary, jako ekspiacji, koniecznej pod rządami prawa, okazał znacznie więcej zmysłu państwowego, niż ci, którzy z grobu jego uczynili cel nabożnych pielgrzymek.

Nie wchodzimy w to, jak dalece łagodny (i późno wydany) wyrok na Muraszkę mógł wpłynąć na utrzymanie się w niezrównoważonych głowach przekonania, że w Polsce jednostka może poprawiać postanowienia Sejmu, Rządu, Sądów. Bądź co bądź czas najwyższy skończyć z uzurpantami roli mścicieli polskiego dobra publicznego. W społeczeństwie chrześcijańskim morderca jest gwałcicielem idei chrześcijańskiej; w społeczeństwie demokratycznym, mającym uporządkowany tok instancji rządowych i sądowych, kto zabija świadomie, jest mordercą i winien być traktowany jako pospolity zbrodniarz. Wszelka miękkość wobec samosądów, wszelkie mędrkowanie na ich temat, jest dowodem niedorozwoju zmysłu społecznego i stawia nas poniżej normy zachodniej kultury politycznej.

*

W DNIU ŚWIĘTA 3-go maja nareszcie nie będą raziły oczu sterczące ruiny na Placu Saskim. Szyfowa praca naszego niefortunnego Ministerstwa Robót Publicznych trwałaby pewnie jeszcze długie lata, szyby wylatywałyby w sąsiednich domach, a ruiny sterczałyby dalej. Szczęśliwie przejął rozbiórkę szef budownictwa miejskiego, p. Słomiński, i w ciągu niewielu tygodni składnie ruiny rozebrano, a tłumy publiczności codziennie wyrażały zdziwienie, że jednak i u nas czasem ktoś coś unie wykonać. Trzeba tylko właściwych ludzi na właściwym miejscu.

K R O N I K A Z A G R A N I C Z N A

NAJWAŻNIEJSZYM wydarzeniem dyplomatycznym ostatnich dni było, oczywiście, zawarcie traktatu sowiecko-niemieckiego. Zanim, w najbliższym numerze, zamieścimy obszerny rozbiór tej tranzakcji, pragniemy w kilku słowach wskazać na pewne charakterystyczne okoliczności, wśród których układ ten się narodził.

Naogół wzruszyła się nim znacznie więcej opinia angielska, niż francuska. We Francji bowiem, gdzie nie oddawano się złudzeniom co do odrodzenia się psychiki niemieckiej w duchu dobrotności i gdzie otwarcie Niemcom brak Ligi narodów traktowano jako malum necessarium—we Francji nowa niemiecka „extratour“ ze sowietami była tylko potwierdzeniem szeroko i oddawna powtarzanych twierdzeń o niemożności dowierzania Niemcom. Traktat sowiecko-niemiecki raczej wzmocnił stanowisko dyplomatyczne Francji, potwierdzając jej zasadniczą tezę o konieczności zachowywania wielkiej ostrożności przy wdawaniu się w stosunki z Niemcami. Niemcy stają się obecnie jawnie dla Ligi koniem trojańskim. Słusznie mianowicie zwraca uwagę w „Journal de Débats“ A. Gauvain:

„P. Stresemann będzie sobie mógł twierdzić, że traktat obecny jest niemal skalkowany z analogicznych konwencji, zawartych przez państwa Europy środkowej i zachodniej. Różnica istotna rzuca się w oczy. Podczas gdy

poprzednie układy obronne zawarto pomiędzy mocarstwami członkami Ligi, w ramach Paktu, z zamiarem wzmocnienia ogólnych postanowień Paktu, przez wyjaśnienia szczegółowe, Niemcy wiążą się z państwem, które sztydzi przy każdej sposobności z Ligi i chwali się, że ją zniszczy... Jeśli rząd Rzeszy obowiązuje jest porozumiewać się z Moskwą za każdym razem, gdy interesy rosyjskie będą wchodziły w grę, będzie musiał z konieczności liczyć się ze zdaniem sowietów podczas debat Rady Ligi. Pośrednio, przez osobę trzecią, sowiety będą miały prawo głosu, a nawet prawo weta w radzie Związku, z którym znajdują się w stanie wojny dyplomatycznej“.

Inaczej ze stanowiska angielskiego. Dla Anglii układ sowiecko-niemiecki jest zjawiskiem niemiłym z dwóch punktów widzenia. Przede wszystkim Anglia na gwałt wciągała Niemcy do Ligi Narodów. Wyrzucano Francji, że nie chce się rozbroić z podejrzliwości wobec Niemiec. Część prasy głosiła wprost, że Liga bez Niemiec jest instytucją kadłubową. Wprowadzenie Niemiec do Ligi poprzez Locarno uważano za triumf dyplomacji angielskiej. Obecnie okazuje się, że triumf to wątpliwy, bo protegowani angielscy wejdą do Ligi... uwiązani za nogę do państwa, które jest dla Anglii bardzo, bardzo mało sympatyczne. Anglia mogłaby wprowadzić przeboleć wrogie stanowisko sowietów wobec Ligi, nie ma też skrupułów moralnych przeciw stosunkom z bolszewikami; ale trudno jej, opierającej swój byt na swobodzie handlu, pogodzić się z organizacją państwową, mo-

nopolizującą cały handel zagraniczny, i to w sposób, który w praktyce paraliżuje wszelkie obroty.

Anglja broniła się co prawda przeciw twierdzeniu, że Locarno było pomyślane przez nią jako izolacja Rosji sowieckiej. Takie jednak było głębokie przekonanie rządzących sfer sowieckich. Obecnie, przez traktat z Niemcami, dyplomacja sowiecka usiłuje „odegrać się” przeciw Anglii. I oto drugi powód, dla którego w Anglii objawia się gruntownie zły humor.

ZWRACA UWAGĘ udzielenie dłuższego urlopu Dzierżyńskiemu, osławionemu szefowi Czerwczajki. Dzierżyński z kierownictwem tej w dziedzinach kultury swoiście zapisanej instytucji kumulował godności szefa najwyższej rady gospodarczej oraz departamentu koncesyjnego. Ostatnio był promotorem ostrej walki ze wzrostem cen i doradzał przeciwdziałanie surowymi środkami represyjnymi spadkowi wartości czerwonia.

PRZEGŁĄD PRASY KRAJOWEJ

W „CZASIE” Krakowskim prof. Adam Krzyżanowski zwraca się przeciw pustemu i szkodliwemu frezesowi, jakim jest

„ciągle obecnie powtarzane hasło, że należy za wszelką cenę utrzymać rząd koalicyjny. W grudniu zeszłego roku koalicja obecnie rządząca, a wówczas początkująca, dobrze się zasłużyła ojczyźnie. Zatrzymała spadek złotego, a nawet nieco podniosła jego kurs przez zniesienie indeksu i obniżkę w złotych płac urzędników. Tym sposobem zapobiegła drożyznie...”

Niestety koalicja nie wytrwała na dobrej drodze. Dziś jej użyteczność dla państwa i społeczeństwa, a więc jej racja bytu jest znacznie słabsza, niż cztery miesiące temu. Jeśli dalsze utrzymanie koalicji miałyby być okupione kompromisem, snychającym nas ponownie w otchłań inflacji, obecnie znacznie groźniejszej w porównaniu z poprzednią, w tym wypadku uważam rozbitcie się koalicji za ewentualność korzystniejszą”.

ZASTANAWIAJĄC się w dalszym ciągu nad położeniem skarbu, uczony ekonomista zwalcza pogląd, wedle którego

„jest teraz możliwe zrównoważenie budżetu, a więc poniechanie dalszej inflacji bez pożyczki zagranicznej, natomiast obecnie jej zaciągnięcie jest niemożliwością. Uważam wprost przeciwny pogląd za o wiele bliższy prawdy. W teraźniejszym układzie stosunków i sił wydaje mi się zrównoważenie budżetu niewykonalnem bez posilkowania się kredytem, bo weszliśmy w fazę niżki złotego, która niweczy wysiłki oszczędnościowe. Oczywiście nie wynika z tego, żeby ich zaniechać. Należy je powiększyć, ale same przez się nie wystarczą”...

NAPRĘŻENIE opinii społecznej i mętność sytuacji politycznej — każą zadawać sobie pytanie, czy panujący bezład sądów i dążeń społeczno-politycznych w kołach sejmowych nie stanowi istotnych cech kry-

zysu parlamentaryzmu w naszym Państwie. W zainscenizowanej na ten temat ankiecie przez „Nowy Kurjer Polski” w dniu 26 kwietnia r. b. wypowiada się b. premier i minister skarbu, p. Władysław Grabski, tak charakteryzując powody, dla których ów kryzys należy uważać za przewlekły:

„Brak silnych stronnictw, zdolnych do skupienia dokoła siebie zdecydowanej większości, brak wodzów parlamentarnych, zdolnych do podporządkowania sobie rozbieżnych pojęć nurtujących stronnictwa, brak instynktu rządzenia i zrozumienia potrzeby rządów o pełnem poczuciu odpowiedzialności, a więc i władzy, oraz przewaga pierwiastków wtrącających się krytycznego do każdej sprawy, z pominięciem decyzji w rzeczach najnoważniejszych, są to objawy stanu chorobliwego, który jest niewątpliwym kryzysem. Parlamenty współczesne z trudem są w stanie wyłaniać rządy, które by umiały w imię dobra ogólnego opłacać sytuację, a tego w każdej demokracji „większość” wymaga od rządu”.

PUNKTEM wyjścia z tej sytuacji dla p. min. Wł. Grabskiego, jest stworzenie poza parlamentem silnego i zdrowego prądu opinii społecznej, jako najważniejszego współczynnika, nie tylko tworzącego parlament, ale również i kształtującego linię jego polityki wewnętrznej.

TRAFNIE ujmując to błąkanie się po bezdrożach napółświadomej i histerycznej opinii publicznej, jaka przejawia się w stosunku do kardynalnych zagadnień państwowych, pos. Jan Dębski w „Echu Warszawskim” z dnia 24.IV r. b., stwierdzając, że dziwnie przedko wśród nas znikła świadomość faktu, że organizacja pań-

stwowa w Polsce jest młoda i nie posiada nieprzerwanej tradycji, jaką posiada większość państw Zachodu, i że nie może w obecnej jej fazie rozwoju sprostać całkowicie swym zadaniom.

„Państwo już wybudowane, a takie niedoskonałe!

Budowa skończona, więc czas aby organizacja przynosiła korzyści, zaspokajała potrzeby, które, nawiasem mówiąc, wzrosły niepomniernie u wszystkich. Budowa skończona, a jak nie doskonała. Skłócony Sejm, rozproszkowany na dziesiątki grup, niedołężny rząd, biurokracja przejawiająca coraz większe wymagania, nieuporządkowane wojsko, nieustabilizowany pieniądź, podatki duże, i to ma być państwo!

Oni, to znaczy państwo winni, że nie mają pracy, że pobierana płaca jest mała, że nie mogą pożyczyć pieniędzy na niski procent, że przedsiębiorstwo dają mały dochód, że to, co sprzedają jest tanie, a to, co kupują, jest drogie, że istnieje ograniczenie prawa własności, że brak mieszkań, że są ciągle kradzieże i nadużycia. — Kto temu wszystkiemu winien? — państwo, władza”.

PODOBNE sądy, rozpowszechnione dziś niepomniernie, uważa pos. Dębski za objaw niebezpiecznej psychozy powojennej.

„Pragnienie silnego rządu, czy zbiega się z roszanowaniem dla władz i pomocą im okazywaną? Biurokracja — skąd pochodzi, kto ją demoralizuje? Wojsko — czy społeczeństwo, politycy — nie mają sobie nic do wyrzucenia w tem, że ono jest nieuporządkowane? Nieustabilizowany pieniądź. Na jakiej to giełdzie zaczyna się zawsze spadek złotego, pogoń za dolarem — czy czasem nie w Warszawie?

Podatki duże. — A jakie podatki płaciliśmy przez kilka lat, najcięższych, w okresie wojny polskiej? Żadne, gdy chodzi o tych, co przedewszystkiem na całym świecie płacą, to jest o tych, co posiadają. Trzeba to wszystko uprzytomić sobie, gdy się ma pretensje do państwa”.